

Święty Augustyn – „Wyznania”

<Księga 6>

Spis treści

KSIĘGA SZÓSTA.....	1
1. Nadziejo moja od młodości, Boże mój,	1
2. Kiedy moja matka pewnego razu przyniosła na groby świętych.....	2
3. Jeszcze nie wznosiłem z głębi niedoli modlitw ku Tobie, żebyś mnie wspomógł.	3
4. Skoro nie wiedziałem, jak trzeba rozumieć owo stworzenie na Twój obraz,.....	4
5. Ale zacząłem już przyznawać nauce katolickiej wyższość nad manichejską	5
6. Marzyłem o zaszczytach, pieniądzach, małżeństwie.....	6
7. Skarżyłem się na to ludziom, z którymi łączyła mnie przyjaźń	7
8. Nie porzucając bynajmniej widoków kariery, której konieczność wmówili mu rodzice,	9
9. Wszystko to jednak przechowywało się w jego pamięci, aby mogło w przyszłości służyć uleczeniu	10
10. Spotkałem go w Rzymie, gdy tam przybyłem.....	11
11. Najbardziej zaś mnie zdumiewało i dręczyło to, że tak wiele już czasu upłynęło od owego	12
dziewiętnastego roku mego życia	12
12. Od zawarcia małżeństwa powstrzymywał mnie Alipiusz	13

KSIĘGA SZÓSTA

1. Nadziejo moja od młodości, Boże mój, gdzie byłeś przez ten cały czas? Gdzie się ukrywałeś przede mną? Czyż to nie Ty stworzyłeś mnie, czyniąc mnie czymś odmiennym od zwierząt chodzących po ziemi i od ptaków unoszących się w przestworzu? Uczyniłeś mnie mądrzejszym od nich. A ja błądziłem po drogach mrocznych i śliskich. Wypatrywałem Ciebie w dali, a nie w sobie samym, i nie mogłem dostrzec Boga serca mego. Pograżyłem się w głębinie morza. ¹ Straciłem wszelką wiarę i wszelką nadzieję znalezienia prawdy. Teraz przybyła do mnie matka moja. Pobożność dała jej siłę do wędrowania za mną przez ziemię i morze, a ufność pokładana w Tobie obdarzyła ją spokojem niewzruszonym wśród wszelkich

niebezpieczeństw. Gdy okrętowi groziło zatonięcie, to właśnie ona dodawała otuchy marynarzom, tym, do których podróżnicy nieobyci z morzem zwykle zwracają się o pomoc i pocieszenie, ilekroć trwoży ich burza. Obiecała im bezpieczne przybycie do portu — Ty sam bowiem to jej obiecałeś w widzeniu. Przybywszy do mnie, znalazła mnie w stanie groźnego zwątpienia. Gdy jej powiedziałem, że wprawdzie nie jestem chrześcijaninem katolikiem, ale już przestałem być manichejczykiem, nie zapaliła się w niej taka radość, jaką by sprawiła niespodzianka. Jej niepokój o mnie już wcześniej się ukoił. Modląc się do Ciebie płakała nade mną jako nad umarłym, ale była też świadoma, że Ty mnie wskrzesisz. W myślach mnie ofiarowała Tobie jakby leżącego na marach, abyś rzekł do syna wdowy: „Młodzieńcze, tobie mówię, wstań!” — aby ożył, aby przemówił, abyś go mógł oddać jego matce.² Nie zadrżało więc jej serce żadną gwałtowną radością, gdy się dowiedziała, że w tak znacznej części już się wypełniło to, o co prosiła Ciebie każdego dnia wśród łez: wprawdzie jeszcze nie przyjąłem prawdy, ale już się oderwałem od kłamstwa.

Zamiast głośno się cieszyć, matka moja, ponieważ wiedziała, że obiecałeś spełnić całość jej prośby, i była pewna, że udzielisz również tego, czego jeszcze brakowało, powiedziała mi — z największym spokojem, z taką pogodą, jaką daje zupełna ufność — iż wierzy w Chrystusie, że zanim odejdzie z tego świata, ujrzy mnie wierzącym katolikiem. Tyle do mnie rzekła. Do Ciebie zaś, który zdrojem jesteś miłosierdzia, jeszcze goręcej się modliła, płacząc; prosiła, byś jak najrychlej wspomógł mnie i rozświecił moje ciemności Twoim światłem. Jeszcze gorliwiej biegła do kościoła, słuchała Ambrożego jak wyroczni, bo dla niej to było źródło wody wytryskującej ku żywotowi wiecznemu.³ Kochała tego człowieka jak anioła Bożego, gdy dowiedziała się, że to właśnie dzięki niemu zdołałem dojść przynajmniej do tego stanu niepewności i zawieszenia. Nie miała wątpliwości, że muszę przez to przejść, bo tędy biegła dla mnie droga od choroby do zdrowia. Ale miałem jeszcze napotkać na tej drodze groźniejsze niebezpieczeństwo — podobne do tego, co lekarze nazywają kryzysem.

2. Kiedy moja matka pewnego razu przyniosła na groby świętych, jak to zawsze miała zwyczaj czynić u siebie w Afryce, placki, chleb i wino, a odzwierny nie pozwolił jej na złożenie takiej ofiary, powołując się na zakaz biskupa, wtedy tak posłusznie i pobożnie poddała się temu zarządzeniu, że aż sam biskup podziwiał, z jaką gotowością wołała raczej potępić swój obyczaj niż kwestionować jego wolę. Serce jej nie było opanowane pragnieniem wina, miłość wina nie skłaniała jej do nienawidzenia prawdy, jak to się dzieje u wielu mężczyzn i kobiet, tak się brzydzących wszelką pochwałą trzeźwości, jak pijacy się brzydzą domieszaną do wina wodą. Kiedy w Afryce przynosiła według zwyczaju kosz pełen pokarmu, aby trochę z tego skosztować, a resztę rozdać, nigdy nie nalewała sobie więcej niż jedną małą czarę wina, zaprawionego — zgodnie z jej upodobaniem do trzeźwości — wodą, i wypijała tylko tyle, ile wypadało wypić. Jeśli trzeba było uczcić w ten sposób wiele grobów, na każdy z nich niosła tę samą czarę z winem, które już wówczas było nie tylko bardzo wodniste, lecz również zupełnie letnie, i podawała je do picia, małymi łykami, wszystkim przyjaciółkom,

które jej towarzyszyły. Czyniła to wszystko w pobożnej intencji, a nie dla przyjemności. Kiedy więc dowiedziała się, że wielki kaznodzieja, świątobliwy biskup zabronił owej praktyki nawet tym, którzy ją wypełniali w trzeźwości (a zajęli takie stanowisko zarówno

w obawie, aby zwyczaj ten nie dawał sposobności do pijaństwa, jak i dlatego, że była to praktyka bardzo podobna do zabobonnych rytów pogańskich), natychmiast ją porzuciła i odtąd zamiast koszyka pełnego owoców ziemi nauczyła się przynosić na groby męczenników tylko serce pełne modlitwy czystszej od każdego z tych darów. Przy tym w miarę możliwości obdarzała biednych i przyjmowała Ciało Pańskie w kaplicach świętych, którzy idąc za przykładem Męki Pańskiej złożyli życie w ofierze i otrzymali wieńce męczeństwa. Myślę jednak, Panie Boże mój — a moje serce otwarte jest przed Tobą i wiesz, że ja tak właśnie o tej sprawie mniemam — że moja matka nie wyrzekłaby się tego zwyczaju tak łatwo, gdyby jej zakazywał takiej praktyki ktokolwiek inny, człowiek, którego by nie kochała tak, ja kochała Ambrożego. Był jej bardzo drogi dzięki temu, że mnie wskazywał szlak zbawienia. I wzajemnie darzył ją ciepłym uczuciem z powodu jej prawdziwie pobożnego zrycia, gorliwego spełniania dobrych uczynków i regularnego chodzenia do kościoła. Często, spotykając mnie, z zapalem ją wysławiał, gratulując mi takiej matki. Nie wiedział jednak, jakiego ona ma we mnie syna: takiego, który wątpił w te wszystkie prawdy i był przekonany, że nie można znaleźć drogi wiodącej do życia.⁴

3. Jeszcze nie wznosiłem z głębi niedoli modlitw ku Tobie, żebyś mnie wspomógł. Pochłonięty byłem badaniem, umysł mój niecierpliwie dążył do rozstrzygnięcia osaczających go problemów. Ambroży wydawał mi się po prostu człowiekiem, któremu się w świecie bardzo dobrze powiodło. Jakże ważne osobistości świadczyły mu honory. Jedyną kłopotliwą stroną jego życia wydawał mi się celibat. Co się zaś tyczyło wewnętrznej nadziei tego człowieka, walki, jaką toczył przeciwko niebezpieczeństwom związanym z tak wysoką pozycją życiową, pociech, jakie znajdował wśród przeciwności losu, wreszcie radości, jaka mu rozgrzewała samą głębię serca, gdy karmił się Twym Chlebem — tego zupełnie się nie domyślałem, bo przekraczało to moje doświadczenie. On ze swej strony nie wiedział, jak się męczę i jak groźnymi jestem osaczony niebezpieczeństwami. Nie mogłem zadać mu takich pytań, na jakich mi zależało, bo od bezpośredniego z nim zetknięcia oddzielała mnie stale ciżba ludzi, którzy do niego przychodzili ze swoimi sprawami i którym służył pomocą. Kiedy zaś był sam — a krótkie to były chwile — wtedy albo krzepił ciałokoniecznym pokarmem, albo umysł lekturą. Gdy czytał, oczy przebiegały stronice, a umysł rozważał treść tekstu, język zaś był bezczynny i żaden dźwięk nie dobywał się z ust. Nieraz, gdy do niego podchodziłem — a każdy mógł się do niego zbliżać swobodnie i nie było zwyczaju zapowiadania gości — zastawałem go pochylonego w takim milczeniu nad lekturą; nigdy nie czytał na głos. Długo się wtedy siedziało przy nim w ciszy — któż by się bowiem ośmielił przeszkadzać człowiekowi tak pogrążonemu w studiach? — i nieraz odchodziło się, bo nietrudno było się domyślić, że w tym krótkim czasie, kiedy był oddzielony od burzliwych spraw innych ludzi i mógł dać pokarm

własnemu umysłowi, nie chciałby, żeby go od tego odrywano. Być może, obawiał się, że gdyby czytał na głos, to jakiś niejasny ustęp u autora, którego właśnie studiował, mógłby zaniepokoić uważnego słuchacza i wtedy trzeba by udzielić wyjaśnień albo nawet szerzej przedyskutować pewne trudniejsze punkty dzieła. Gdyby zaś temu musiał poświęcać czas, nie zdołałby przeczytać tylu książek, ile chciał poznać. Albo może przyczyną owego czytania po cichu była raczej troska o oszczędzanie głosu, łatwo bowiem chrypnąć? Ta czy inna była przyczyna, na pewno taki człowiek kierował się w tym wypadku słusznymi względami. Nie miałem więc żadnej możliwości przedstawienia temu człowiekowi, Twojej świętej wyroczni, problemów, które mnie dręczyły. Mogłem mówić mu tylko o tym, co się dało wyrazić bardzo zwięźle. Żeby odsłonić przed nim prawdziwą moją mękę, musiałbym kiedyś uchwycić moment, gdy będzie on zupełnie swobodny; a to się nigdy nie zdarzało. Mogłem tylko każdej niedzieli słuchać razem z wiernymi, jak głosił słowa prawdy. I coraz bardziej umacniałem się w przekonaniu, że można rozwikłać wszystkie węzły, jakie z kłamstw wymierzonych przeciw Bożym Księgom spleli ci, którzy mnie tak przebiegle oszukiwali.

Przekonałem się też, że Twoje dzieci duchowe, którym przez łaskę Twoją pozwoliłeś na nowo się narodzić z łona Kościoła katolickiego, wcale nie rozumieją słów o stworzeniu człowieka na Twój obraz w taki sposób, jakobyś Ty miał być ograniczony kształtem ludzkiego ciała. Wprawdzie nie potrafiłem jeszcze i wtedy dojść choćby do najbardziej mglistej, choćby do alegorycznej tylko koncepcji istnienia substancji duchowej, ale cieszyłem się już z tego, że jeśli przez tyle lat czekałem, to jednak nie przeciwko wierze katolickiej, lecz przeciwko czemuś fikcyjnemu, czemuś, co istniało tylko w mojej głowie. Zarazem wstydzilem się — bo było to na pewno i lekkomyślnością, i bezbożnością — że próbowałem uwłaczać czemuś, co przecież powinienem był najpierw lepiej poznać. Ty, Panie najwyższy i najbliższy, najgłębiej ukryty i najbardziej obecny, nie masz w sobie części większych i mniejszych, lecz wszędzie jesteś cały, a nigdzie nie jesteś ograniczony przestrzenią, nie masz też postaci cielesnej. A jednak stworzyłeś człowieka na obraz Twój, on zaś od głowy do stóp istnieje na pewno w przestrzeni.

4. Skoro nie wiedziałem, jak trzeba rozumieć owo stworzenie na Twój obraz, powinien bym był zapukać do Twych drzwi i zapytać o to, a nie szydzić z owych słów i odrzucać je tak, jakby istotnie miały to znaczenie, które ja im przypisałem. Apożądanie pewności dręczyło mnie tym dotkliwiej, że coraz bardziej dopiekał mi wstyd, gdy przypomiąłem sobie, jak długo mnie oszukiwała i wodziła po manowcach uluda rzekomej pewności, ile rzeczy niepewnych wygadywałem w dziecinnym zabłąkaniu i zapamiętałości tak, jakby były pewnymi. Dopiero później pojąłem nagle, że to były kłamstwa. Pewne było tylko to, że nie było w nich pewności. A ja traktowałem je jako pewne wtedy, gdy w zaślepieniu napadałem na Kościół katolicki. Teraz, chociaż nie przekonałem się jeszcze, że głosi on prawdę, tyle już przynajmniej wiedziałem, że nie naucza tego, o co go tak zażarcie oskarżałem. Zaskoczyło mnie to, a ponieważ byłem już na drodze do nawrócenia, cieszyłem się, Boże mój, że jedyny Twój Kościół, Ciało Twego Syna jedyne, w którym wezwano imienia Chrystusowego nade mną jako niemowlęciem, nie lubuje

się w dziecinnych baśniach. W jego trzeźwej nauce nie było niczego, co mogłoby wślaczać Ciebie, Stwórcę wszechrzeczy, w jakiegokolwiek miejsce, choćby najwyżej sięgające i najrozleglejsze — lecz jednak ściśle ograniczone zarysami postaci ludzkiej. Cieszyłem się też, że przedstawiano mi dawne księgi Prawa i Proroków w świetle zupełnie odmiennym od tego, w którym przedtem wydawały mi się one absurdalne — wtedy gdy krytykowałem Twoich świętych za poglądy, jakie ja sam im przypisywałem. A oni mieli poglądy zupełnie odmienne. Z radością też słyszałem, że w kazaniach Ambroży często powoływał się na tekst: „Litera zabija, duch ożywia”⁶ — jakby to była reguła, którą szczególnie mocno chciał podkreślić. Kiedy wyjaśniał takie teksty, które wtedy, gdy je brałem według litery, zdawały się głosić naukę przewrotną, i uchylając zasłony tajemnicy, odsłaniał ich sens duchowy, nic w tym, co mówił, nie budziło mojego sprzeciwu, chociaż z drugiej strony nie wiedziałem serce od przyświadczenia czemukolwiek — bojąc się, że runę potem w dół; i trwałem w zawieszeniu, jeszcze bardziej niebezpiecznym.

Chciałem w sprawach nie podlegających zmysłom osiągnąć taką pewność, jak byłem pewny, że siedem plus trzy to dziesięć. Nie byłem bowiem aż tak szalony, żeby i w to wątpić... Taką właśnie pewność chciałem osiągnąć we wszystkich dziedzinach, zarówno wobec tych rzeczy materialnych, których nie mogłem osiągnąć własnymi zmysłami, jak i wobec bytów duchowych, których nie umiałem pojąć inaczej niż w postaci materialnej. Mógłbym uleczyć się przez wiarę, gdyż dzięki niej zarysowałyby się przed moim umysłem wyraźniejsze linie, które w jakiś sposób mogłyby skierować mnie ku Twojej prawdzie, a ona zawsze trwa i nikogo nigdy nie omyli. Ale często tak się zdarza, że człowiek, który raz trafił na złego lekarza, potem boi się powierzyć nawet dobremu. Taki był stan mojej duszy, której nic oprócz wiary nie mogło uleczyć. A odrzucała to lekarstwo, bojąc się, że mogłaby uwierzyć w nieprawdę. Odsuwała się od Twoich rąk, w których przynosisz lekarstwo prawdziwej wiary, skrapiając nim wszystkie choroby świata, aby ustąpiły wobec jego mocy.

5. Ale zacząłem już przyznawać nauce katolickiej wyższość nad manichejską. Uważałem, że cechuje ją i większa skromność, i większa rzetelność, gdy domaga się, aby w niektóre rzeczy wierzone bez dowodu — czy to dlatego, że wprawdzie można by je udowodnić, ale nie wszyscy by to zrozumieli, czy też dlatego, że w ogóle nie można ich udowodnić. Natomiast manichejczycy śmiali się z ludzi przyjmujących cokolwiek na wiarę i lekkomyślnie obiecywali wiedzę naukową, potem zaś roztaczali całą sieć fantastycznych wymysłów, w które można było tylko wierzyć, bo w żaden sposób nie można było ich uzasadnić. Wtedy Ty, Panie, najłagodniejszą i najmiłosierniejszą ręką dotknąłeś mego serca i uporządkowałeś moje myśli. Zacząłem sobie uświadamiać, jak wiele rzeczy przyjmuję na wiarę, takich, których nigdy nie widziałem albo które zdarzyły się, kiedy mnie przy tym nie było — tyle wydarzeń w dziejach ludzkości, tyle faktów w krajach i miastach, gdzie nigdy nie byłem, tyle wiadomości, jakie przyjmowałem na wiarę od przyjaciół, od lekarzy, od najróżniejszych ludzi. Gdybyśmy takim rzeczom odmawiali wiary, niczego w tym życiu nie moglibyśmy dokonać. Nade

wszystko uświadomiłem sobie, jak niewzruszenie wierzę w to, że pochodzę od tych, a nie innych rodziców; a tego nigdy nie mógłbym wiedzieć, gdybym nie uwierzył w to, co mi powiedziano. Pozwiliłeś mi zrozumieć, że należy krytykować nie tych, CO wierzą Twemu Pismu Świętemu, które u prawie wszystkich narodów utwierdziłeś w tak wielkiej powadze, lecz tych, co mu nie wierzą. I że nie powinienem przejmować się takimi pytaniami: „Skąd wiesz, że te księgi zostały dane ludzkości z natchnienia Ducha jedyne go prawdziwego Boga, który kłaniać nie może?” Właśnie to zasługiwało na najmocniejszą wiarę, bo w licznych, a nawzajem sobie przeczących książkach filozofów, jakie przeczytałem, żadne najbardziej nawet napastliwe i oszczercze tezy nie zdołały nigdy wydrzeć mi mojej wiary w to, że Ty istniejesz — chociaż nie wiedziałem, czym jesteś — i że rządysz ludzkimi sprawami. W to, że jesteś i że się troszczysz o nas, wierzyłem czasem mocniej, czasem słabiej, ale jednak zawsze wierzyłem, chociaż nie wiedziałem, jak należy pojmować Twoją substancję ani jaką drogą idzie się do Ciebie i jaką się do Ciebie wraca.

Skoro zrozumiałem, że jesteśmy zbyt słabi, aby własnym rozumem poznać prawdę, i że koniecznie potrzebujemy powagi świętych ksiąg, zacząłem pojmować, że na pewno nie nadałbyś Pismu Świętemu tak wielkiej powagi we wszystkich krajach, gdyby nie miało ono być dla nas środkiem szukania Ciebie. Te ustępy, które przedtem mnie raziły jako absurdalne, teraz, gdy wysłuchałem wielu przekonujących komentarzy do nich, odsłoniły się przede mną jako głębokie tajemnice. Powaga Pisma Świętego wydała mi się tym bardziej godna czci i najczystszej wiary, że chociaż wszyscy ludzie mogą je czytać z łatwością, ma ono jednak taką głębszą warstwę, gdzie spoczywają jego wielkie tajemnice. Dzięki słowom najzwyczajszym i prostemu stylowi Pismo Święte jest dostępne dla wszystkich, a jednocześnie pochłania całą uwagę ludzi o umysłach poważnych. Dlatego przyciąga do siebie wszystkich ludzi, a niektórym pozwala przejść przez wąskie furty do Ciebie, nielicznym, lecz byłoby ich o wiele mniej, gdyby ono nie jaśniało tak wzniosłym blaskiem, jednocześnie przyciągając do siebie takie tłumy swoją świętą pokorą. Rozmyślałem o tym wszystkim, a Ty byłeś przy mnie. Wzdychałem, a Ty pochylałeś się nade mną. Kiedy miotaly mną fale, Ty ujmowałeś ster mojej łodzi. Kiedy szedłem szeroką drogą tego świata, Ty nie odstępowałeś ode mnie.

6. Marzyłem o zaszczytach, pieniądzach, małżeństwie, a Ty- ze mnie szydziłeś. Kiedy w owych dążeniach miałem ciężkie kłopoty, byłeś tym łaskawszy dla mnie, im mniej mi pozwalałeś na znajdowanie jakiegokolwiek słodyczy w tym, co nie było Tobą. Wejrzyj w serce moje, Panie, który chcesz, abym to wspominał i wyznawał Tobie. Niech teraz przylgnie do Ciebie dusza moja, którą uchroniłeś od tak chwytnych sidła śmierci. Jakże biedna była! A Ty jeszcze rozjątrzałeś jej ranę, aby wszystko porzuciła i powróciła do Ciebie, który jesteś ponad wszystkim i bez którego nic by nie istniało — aby wróciła i została uleczona. Jakże byłem nieszczęśliwy! I jak postarałeś się o to, żebym odczuł moją niedolę w dniu, gdy przygotowywałem się do wygłoszenia mowy na cześć cesarza. Miałem w niej wiele nakłamać i zebrać rześiste oklaski od słuchaczy, którzy dobrze wiedzieli, jakie to są

kłamstwa. Wielką czułem treść i gorączkowo się przygotowywałem. I właśnie wtedy idąc jedną z uliczek Mediolanu zobaczyłem obdartego żebraka, który, jak myślę, musiał się dopiero co dobrze najść i napić, bo śmiał się i żartował. Ze smutkiem odwróciłem się do przyjaciół, z którymi szedłem, i kazałem im zastanowić się nad tym, ilu cierpień nam przyczynia nasze szaleństwo. Moje ambicje obarczyły mnie brzemieniem, które stawało się tym cięższe, im dalej je niosłem, a przecież wszystkie te wysiłki miały tylko jeden cel: osiągnięcie spokojnego szczęścia. I oto ten żebrak już nas w tym wyprzedził, a my do celu może nigdy nie dojdziemy. To, do czego ja dążyłem przez tyle mozolnych, krętych zabiegów, on osiągnął za garść użebranych monet — radość ziemskiego szczęścia. Oczywiście, nie było to szczęście prawdziwe. Ale szczęście, do jakiego się przedzierałem za cenę tak wielkich wysiłków, było jeszcze bardziej fikcyjne. Ten żebrak przynajmniej był wesoły, a ja żyłem w udręce. On się śmiał, a mnie pożerał niepokój. Gdyby zaś zapytali mnie, czy wolę weselić się, czy lękać, odpowiedziałbym oczywiście, że wolę się weselić. A gdyby mnie potem zapytali, czy wolałbym życie tego żebraka, czy moje, wybrałbym moje życie, szarpane lękiem — i byłby to wybór absurdalny. Jakże mógłbym go uzasadnić? Nie należało bowiem wyżej cenić mojego życia niż jego życia z tego powodu, że byłem bardziej wykształcony. Bo przecież nie dawało mi to szczęścia; wykształcenie było tylko środkiem do tego, żeby się podobać innym ludziom — nawet nie uczyć ich czegokolwiek, lecz tylko się podobać. Dlatego tak porachowałem moje kości różgą Twego upomnienia. Niech się moja dusza ma na baczności wobec ludzi, którzy powiadają: „Istotne jest, dzięki czemu człowiek czuje się szczęśliwy. Tego żebraka uszczęśliwiało wino, które wypił. Ty szukałeś szczęścia w chwale”. W jakiej chwale, Panie? Nie w takiej, jaką można znaleźć w Tobie. Jak szczęście żebraka nie było szczęściem prawdziwym, tak owa chwala nie była prawdziwą chwałą. A jeszcze bardziej niż jemu mąciło mi się w głowie. On przez jedną noc miał wytrzeźwieć z pijaństwa. A ja z moim pijaństwem położyłem się spać i z nim się zbudziłem — iż nim się znowu miałem położyć, i z nim wstać... I to przez ile dni! Rzeczywiście istotne jest, dzięki czemu człowiek czuje się szczęśliwy! Wiem o tym. Istnieje bezmierna odległość między szczęściem, jakie daje płynąca z wiary nadzieja, a takim szczęściem, jakiego ja wtedy szukałem. Ale była też niemała różnica między mną a tym żebrakiem. On był na pewno szczęśliwszy ode mnie — nie tylko dlatego, że się weselił, a mnie zadręczały troski, lecz także dlatego, że zarobił na wino uprzejmie pozdrawiając przechodniów, a ja usiłowałem nakarmić moją pychę przez głoszenie kłamstw. Zwierzyłem się wtedy moim przyjaciołom z wielu takich refleksji. Często się tak zdarzało, że obserwując ich poznawałem mój własny stan. Stwierdzałem, że dzieje się ze mną coś niedobrego. To rozpoznanie pogłębiało moją niedolę. Jeśli nawet los uśmiechnął się do mnie, nie miałem dostatecznego zapału, żeby korzystać ze sposobności; zanim wyciągnąłem rękę po nią, ona już odlatywała.

7. Skarżyłem się na to ludziom, z którymi łączyła mnie przyjaźń, najczęściej zaś i najszczerzej rozmawiałem z Alipiuszem i Nebryduszem. Alipiusz pochodził z tego samego miasta co ja; rodzice jego zaliczali się do znacznych obywateli. Był

ode mnie młodszy. Słuchał moich wykładów zarówno w naszym mieście, gdzie zacząłem pracę nauczyciela, jak też potem w Kartaginie. Bardzo mnie lubił, uważając mnie za porządnego człowieka, prawdziwie uczonego. Ja zaś lubiłem go za to, że chociaż był jeszcze bardzo młody, widać już było dosyć wyraźnie, że wartościowy człowiek z niego wyrośnie. Niestety jednak zdążył już go wciągnąć wir luźnych obyczajów panujących w Kartaginie, gdzie się szaleje za głupimi widowiskami. Alipiusz roznamiętnił się do igrzysk w cyrku. Gdy się pogrążył w tej nędznej pasji, a ja otworzyłem w naszym mieście szkołę retoryki, nie słuchał jeszcze moich wykładów, bo ja i ojciec jego byliśmy z jakiegoś powodu poróżnieni. Dowiedziałem się, jak on się pali do owych igrzysk. Bardzo mnie to martwiło; obawiałem się, że sobie zniszczy świetną przyszłość, a może nawet już ją zniszczył. Do tego jednak, żeby go upomnieć albo wywrzeć na niego jakiś nacisk, nie miałem ani praw przyjaźni, ani takich praw, jakie daje rola nauczyciela. Sądziłem, że Alipiusz nastawiony jest wobec mnie tak samo jak jego ojciec; w rzeczywistości było zupełnie inaczej. Wręcz lekceważąc w tej sprawie wolę ojca, zaczął mnie pozdrawiać, a nawet przychodził posłuchać tego czy owego wykładu; szybko jednak wychodził. Z czasem zapomniałem o tym, że należałoby na niego wpłynąć, by nie marnował swych zdolności nieprzytomnym zamiłowaniem do nedorzecznych widowisk.

Ty jednak, Panie, który trzymasz w dłoniach ster wszystkiego, co stworzyłeś, nie zapomniałeś o tym, że człowiek ten miał być w przyszłości biskupem i udzielać sakramentu Twoim dzieciom. Aby było dla wszystkich jasne, że tylko Twoim dziełem jest jego poprawa, dokonałeś tego za moim pośrednictwem, ale w taki sposób, że ja o tym nie wiedziałem. Oto pewnego dnia, gdy siedziałem w swej szkole otoczony uczniami, Alipiusz przyszedł, pozdrowił mnie, usiadł i zaczął się bardzo pilnie przysłuchiwać. A zdarzyło mi się właśnie mówić o jakiejś sprawie, którą można było dobrze wyjaśnić przez porównanie jej do igrzysk w cyrku. Dzięki tej analogii mogłem słuchaczom zabawniej i jaśniej rzecz przedstawić, a przy sposobności dotkliwie ośmieszyć tych, którzy ulegali owemu szaleństwu. Ty dobrze wiesz, Panie, że w owej chwili wcale nie myślałem o uleczeniu Alipiusza. Ale on moje słowa wziął do siebie i był przekonany, że mówiłem tak ze względu na niego. Każdy inny człowiek pewnie by się o to pogniewał, ale ten prawy chłopiec nie na mnie, ale na siebie się rozgniewał i odtąd jeszcze bardziej mnie kochał. Już dawno temu przecież z Twojej woli pojawiły się w Piśmie Twoim słowa: „Skarć mądrego, a będzie cię miłował”⁷. Ale ja nie zamierzałem go wtedy karcieć. To Ty posługujesz się wszystkimi — czy wiedzą o tym, czy nie wiedzą — dla osiągnięcia znanego Tobie celu, który jest słuszny. Rozpaliłeś moje serce i język jak rozżarzone węgle, aby sparzyć jego umysł rokujący tak wielkie nadzieje, a porażony niemocą, i aby go uleczyć. Przemilczać Twoją chwałę mogą tylko ci, którzy nie rozważają Twego miłosierdzia, a ja, rozpoznawszy je, z samego dna mej duszy sławię Ciebie. Skoro bowiem Alipiusz wysłuchał mego wywodu, zdołał się wyrwać z przepaści, w jaką przedtem dobrowolnie się pogrążył zaślepiony przemożnym upodobaniem. Mężnym wysiłkiem ducha otrząsnął się z ohydy igrzysk i już więcej w cyrku nie bywał. Starał się też przewyciężyć opory ojca i zostać moim uczniem. Wreszcie ojciec udzielił pozwolenia. Skoro zaś Alipiusz

wrócił do słuchania moich wykładów, od razu go niestety oblepiły moje przesady. Zachwyił się manichejskimi pozorami dyscypliny duchowej, którą uważał za prawdziwą i szczerą, podczas gdy była to tylko niedorzeczna a podstępna metoda łowienia cennych dusz; póki się jeszcze nie nauczyły wymierzać głębokości prawdziwej cnoty, łatwo je było łudzić powierzchownymi objawami cnoty udawanej i fałszywej.

8. Nie porzucając bynajmniej widoków kariery, której konieczność wmówili mu rodzice, Alipiusz wcześniej ode mnie wyjechał do Rzymu, aby tam studiować prawo. Trudno uwierzyć, co się w Rzymie znowu z nim stało: zapłonął niesłychaną namiętnością do walk gladiatorских. Początkowo brzydził się nimi i nie chciał chodzić do amfiteatru. Kiedyś jednak, właśnie w porze, gdy się odbywały te okrutne i krwawe walki, jacyś jego przyjaciele i koledzy ze studiów, na których się natknął wracających z obiadu, przyjacielskim przymusem przełamali wszystkie jego gwałtowne sprzeciwy i zaprowadzili go do amfiteatru. „Chociaż zaciągniecie tam moje ciało, czyż zdołacie sprawić, bym patrzył na te widowiska i poświęcał im uwagę? Będę tam przebywał nieobecny, okazując się silniejszym i od was, i od nich.” Słyszając to przyjaciele ani trochę nie słabli w zapale i może właśnie po to tak gorliwie go wlekli, aby sprawdzić, czy rzeczywiście okaże się tak odporny. Gdy przyszli i usiedli na miejscach, jakie znaleźli wolne, już wszystko dokoła było rozpalone żądzą krwi.

Alipiusz mocno zacisnął powieki i postanowił sobie w duchu, że nic nie będzie miał wspólnego z tą okropnością. Czemuż nie zamknął uszu tak samo szczelnie! Oto w pewnym momencie walki, gdy uderzył w niego wrzask zgromadzonego tłumu, już nie zdołał przezwyciężyć ciekawości. Niezależnie od tego, co to mogło być, był przekonany, że od takiego widoku odwróci się ze wstrętem. Otworzył więc oczy i wówczas dusza jego została ciężiej zraniona, niż zraniono ciało tamtego człowieka, którego on ujrzeć zapragnął. Upadł jeszcze okropniej niż tamten, którego upadek wrzawę ową rozniecił. Właśnie ta wrzawa przedarła się przez uszy Alipiusza i rozsunała jego zaciśnięte powieki, skutkiem czego dusza została odsłonięta dla ciosu, który w dół ją strącił. Była w tym raczej zuchwałość niż odwaga, a słabość duszy polegała na tym, że zaufała ona sobie samej, podczas gdy powinna była Tobie ufać. Alipiusz, ujrzawszy krew na arenie, jakby zachłysnął się okrucieństwem. I bynajmniej głowy nie odwrócił, lecz wpatrywał się w tę scenę i sycił się dziką furią — a nie wiedział o tym. Wprawiała go w zachwyt zbrodnicza walka, upajał się rozkoszą broczącej z ran krwi. I nie był już taki, jaki był wtedy, gdy przyszedł do amfiteatru; już należał do tego tłumu, z którym się zmieszał, był prawdziwym towarzyszem tych, którzy go do amfiteatru przywiedli. Trzebaż o tym więcej mówić? Wpatrywał się, wrzeszczał, kipiał namiętnością. I do domu zabrał z sobą to szaleństwo, które mu potem kazało nieraz do amfiteatru wracać — nie tylko z tymi, którzy go po raz pierwszy tam zaciągnęli, lecz nawet przed nimi; i jeszcze innych tam przyprowadzał. A jednak Ty ręką swoją silną a miłosierną wyrwałeś go z tego obłądzenia. I nauczyłeś go, że powinien Tobie, a nie sobie samemu ufać. Lecz stało się to znacznie później.

9. Wszystko to jednak przechowywało się w jego pamięci, aby mogło w przyszłości służyć uleczeniu. Było też pewne zdarzenie, na które, jak myślę, pozwoliłeś, Boże nasz, nie z innej przyczyny, lecz po to, aby Alipiusz, który miał w późniejszych latach życia stać się tak ważną osobą, już teraz zaczął się uczyć owej zasady, że w rozpatrywaniu spraw nie wolno człowiekowi potępiać drugiego człowieka pochopnie, na podstawie zbyt słabych dowodów. Jeszcze wtedy, gdy słuchał moich wykładów w Kartaginie, dopuściłeś do tego, aby go dozorca rynku aresztowali jako złodzieja. W porze południa przechodził przez rynek, pogrążony w rozmyślaniu o mowie, jaką miał skomponować i wygłosić — takie się zwykle zadaje studentom ćwiczenie.

Powoli kroczył samotnie przed budynkiem trybunału, mając w ręku tabliczki do pisania i rylec, kiedy właśnie jeden ze studentów — prawdziwy złodziej — z ukrytą siekierą podszedł do ołowianej balustrady odgradzającej od rynku znajdującą się niżej ulicę Bankierów. Alipiusz nawet go nie zauważył. Złodziej zaczął przecinać ołów. Usłyszawszy stuk siekiery, przebywający w dole bankierzy po cichu się naradzali, co mają uczynić; wreszcie posłali ludzi z nakazem aresztowania każdego, kogo tam wyżej napotkają. Usłyszawszy ich głosy, złodziej porzucił siekiere i uciekł, aby uniknąć pojmania.

Alipiusz nie widział był złodzieja wtedy, gdy on nadchodził, a dostrzegł jego ucieczkę, więc zaintrygowany podszedł do owej kraty, a znalazłszy siekiere, stanął i próbował zrozumieć, co to wszystko znaczy. I oto ludzie wysłani przez bankierów widza, jak on stoi sam tylko, w ręku mając tę siekiere, której stuk ich tu sprowadził. Od razu chwytają Alipiusza. Sklepikarzom, którzy się wnet zbiegli, z dumą opowiadają, że przyłapali złodzieja na gorącym uczynku. I prowadzą go, aby oddać w ręce sędziego. Lecz na tym był już koniec udzielonej Alipiuszowi lekcji. Natychmiast bowiem, Panie, wsparłeś niewinność, której byłeś jedynym świadkiem. Kiedy go wiedziono czy to do więzienia, czy na tortury, spotyka ich po drodze pewien architekt zajmujący się budowami publicznymi. Ogromnie się owi ludzie cieszą ze spotkania, bo architekt nieraz ich podejrzewał o kradzież różnych rzeczy, jakie znikają z rynku; a oto oni wreszcie rozpoznali właściwego sprawcę. Ale człowiek ten często widywał Alipiusza w domu pewnego senatora, u którego bywał. Od razu go poznał, wziął pod ramię i odprowadziwszy na stronę pytał, dlaczego znalazł się on w tak przykrym położeniu. Gdy usłyszał, co się stało, całemu tłumowi, który w wielkim podnieceniu wygrażał Alipiuszowi i głośno wykrzykiwał, kazał pójść za sobą. Poszli wprost do domu owego młodzieńca, który się był dopuścił tego czynu. Przed drzwiami stał tam mały niewolnik, zupełnie nie domyślający się, że jego panu może cokolwiek zagrażać. Bez oporu więc opowiedział wszystko, co wiedział; towarzyszył swemu panu podczas zajścia na rynku. Alipiusz teraz go rozpoznał i powiadomił o tym architekta. Ten pokazał chłopcu siekiere pytając, czyja jest — a on od razu rzekł: „Nasza”. Gdy padły następne pytania, opowiedział resztę. Dzięki tym wyjaśnieniom winę przypisano właściwemu domowi ku niemałemu zawstydzeniu tłumowi, który już zaczął był triumfować nad schwytanym Alipiuszem. Ów zaś przyszły szafarz słowa Twojego i sędzia wielu spraw w Kościele Twoim wrócił do swego domu bardziej doświadczony i dzięki temu rozumniejszy.

10. Spotkałem go w Rzymie, gdy tam przybyłem. Bardzo się wtedy do mnie przywiązał i udał się potem razem ze mną do Mediolanu, zarówno po to, aby być blisko mnie, jak i dla praktycznego spożytkowania swych studiów prawniczych; w tym drugim szedł zresztą bardziej za wolą rodziców niż za własną chęcią. Już przedtem pełnił nieraz obowiązki ławnika z rzetelnością, którą się wszyscy zdumiewali nie mniej, niż on się zdumiewał, że mogą istnieć ludzie ceniący złoto wyżej od uczciwości. A charakter jego został poddany nie tylko próbie przekupstwa, lecz także próbie zastraszenia. Było to wtedy, gdy w Rzymie jako asesor towarzyszył przewodniczącemu komisji funduszków prowincji italskich.

Miał tam pewną sprawę wpływowego senatora, wobec którego wielu było spętanych różnymi długami wdzięczności, a wielu po prostu trzęsło się ze strachu. Zwykłym swoim władczym tonem domagał się dla siebie czegoś, co było prawnie zabronione. Sprzeciwił się Alipiusz. Zaproponowano mu łapówkę. Ze wzdrgnięciem ją odrzucił. Zabrzmiały pogródki. Nic sobie z nich Alipiusz nie robił. Wszyscy podziwiali jego nieugięty charakter, bo przecież tamten człowiek szeroko słynął zarówno możliwością świadczenia przysług, jak i możliwością szkodzenia ludziom. Alipiusz zaś ani nie pragnął jego przychylności, ani też wrogości się nie lękał. Sam sędzia, którego doradcą był Alipiusz, przyznawał, że nie powinno się ulec żądaniu senatora; ale nie chciał mu odmówić otwarcie. Winę za odmowę zrzucał na Alipiusza, powiadając senatorowi, że to ławnik nie pozwala tego uczynić.

Bo też prawdą było, że gdyby sędzia spełnił żądanie senatora, Alipiusz złożyłby swój urząd. Jedyłą pokusą, przed którą Alipiusz musiał się z wysiłkiem bronić, a wynikającą z jego zamiłowania do literatury, było dawanie książek do przepisywania po specjalnych cenach przysługujących tylko celom urzędowym. Posłuchawszy jednak głosu uczciwości, wyrzekł się tego, bardziej ceniąc zasady, które takiej praktyki zabraniały, niż swoje stosunki, które mu ją umożliwiały. Drobną to była sprawa. Ale kto wierny jest w małej sprawie, i w wielkiej jest wierny. I nigdy nie zamilkną te słowa, które . z ust Prawdy Twojej zabrzmiały: „Jeśli nie byliście wierni w nieprawej mamonie, dobra prawdziwe któż wam powierzy? A jeśliście w cudzym nie byli wierni, któż wam da, co wasze?”⁸ Taki był ten mój ówczesny przyjaciel serdeczny. Obaj ciągle rozważaliśmy, jaką powinniśmy wybrać drogę życia.

Był z nami także Nebrydiusz. Opuścił on rodzinne miasto w pobliżu Kartaginy, jak też samą Kartaginę, gdzie spędził był sporą część życia, zostawił również dom, rodzinny majątek ziemski i matkę swoją, która nie chciała mu towarzyszyć. Do Mediolanu przybył tylko po to, aby być blisko mnie i byśmy mogli razem oddawać się żarliwemu poszukiwaniu prawdy i mądrości. Jakże uparcie dążył do szczęścia i z jaką dociekliwością roztrząsał najtrudniejsze kwestie. Byliśmy trojgiem głodnych ust, rozchylonych łaknieniem i oczekujących pomocy od Ciebie, z nadzieją, że dasz nam pokarm w czasie stosownym. W każdym rozczarowaniu, jakie z wyroku Twego miłosierdzia było przeznaczone dla naszych przedsięwzięć w świecie, staraliśmy się pojąć sens naszego cierpienia. Ale na naszej drodze stały się same ciemności. Odwracaliśmy się od nich z płaczem, pytając: „Jak długo to

będzie?" Często zadawaliśmy takie pytanie. A jednak nie porzucaliśmy celów światowych, ponieważ nie błyskało nam światło żadnej pewnej prawdy, której po porzuceniu owych ambicji moglibyśmy się uchwycić.

11. Najbardziej zaś mnie zdumiewało i dręczyło to, że tak wiele już czasu upłynęło od owego dziewiętnastego roku mego życia, gdy zacząłem pilnie poszukiwać mądrości, postanawiając sobie, że gdy wreszcie ją znajdę, porzucę wszystkie puste ambicje i nedorzeczne złudzenia. A oto miałem już trzydzieści lat i ciągle szamotałem się w tym samym bagnie, chciwie wyciągając ręce po to, co świat miał mi do ofiarowania, chociaż to wszystko tylko mnie mamiło i rozpraszało moje siły. Ciągle sobie coś wmawiałem: Jutro odkryję prawdę. Ukaże mi się ona zupełnie wyraźnie i już jej nie utracę. Przybędzie Faustus i wszystko mi wyjaśni. Jakże wielcy są filozofowie akademicy! Ta ich teza, że nie można znaleźć pewności co do tego, jak należałoby układać swoje życie... Nie, raczej szukajmy co sił i nie traćmy nadziei! Już mi przestały się wydawać absurdalnymi te ustępy w księgach Kościoła, które przedtem się takimi wydawały; wiem, że można je rzetelnie wyłożyć w inny sposób. Mocno stanę nogami na tym stopniu, gdzie mnie rodzice jako dziecko postawili, czekając, aż mi zaświta niewątpliwa prawda. Ale gdzie mam jej szukać? I kiedy? Ambroży nie ma dla mnie zbyt wielu wolnych chwil. Ja sam nie mam czasu czytać. Skąd wziąć potrzebne książki? Gdzie i kiedy mógłbym je kupić albo od kogo pożyczyć? Muszę rachować czas i gospodarować moim dniem dla największego pożytku duszy. Oto już wielka zabłysła mi nadzieja, bo przekonałem się, że wiara katolicka nie uczy tego, o co ją podejrzewałem i nedorzecznie oskarżałem. Uczeni jej wyraziciele potępiają pojmowanie Boga jako ograniczonego kształtami ciała ludzkiego. Czemuż nie kołaczę, aby i pozostałe przegrody się rozstały? To prawda, że godziny przed południem muszę poświęcać studentom. Ale co robię z resztą czasu? Dlaczegoż wtedy nie czynię właśnie tego?... A jeśli w tej porze trzeba składać wizyty wpływowym przyjaciołom, których protekcja jest nam potrzebna? Albo przygotowywać wykłady, za które mi płacą studenci?

W jakiej zaś porze miałbym odnawiać mój umysł dając mu odpoczynek od szarpiących go trosk? Nie, odrzucić trzeba to wszystko, uwolnić się od wszystkich głupstw, poświęcić siły jednemu tylko celowi: poszukiwaniu prawdy. To życie jest pełne niedoli, a pora śmierci nie znana. Gdyby tak nagle mnie zaskoczyła — w jakimż ja stanie stąd odejdę? Więc gdzie właściwie mógłbym się nauczyć tego wszystkiego, co dotychczas zaniedbałem w tym życiu? Czyż nie należy raczej przypuścić, że trzeba będzie za to zaniedbanie ponieść ciężką karę? Ale z drugiej strony przypuśćmy, że śmierć kładzie kres wszystkim troskom, kończąc wszelkie odczuwanie. To też jest możliwość, którą trzeba rozważyć. Ale w istocie nie można jej uznać. Nie jest to przecież przypadkiem, że w całym świecie tak przemożnie się rozpowszechniła powaga wiary chrześcijańskiej. Boża moc — czyż dokonałaby dla nas tych tak wielkich rzeczy, gdyby śmierć ciała unicestwiała także duszę? Czemuż więc się ociągam? Czemuż nie porzucam światowych nadziei i nie oddaję się całkowicie szukaniu Boga i szczęśliwego życia? Lecz nie tak szybko! Tamto

życie jest też nie bez uroku. Niebłahą zaleca się błogością. Nie powinien człowiek tak łatwo od niego się odsuwać, a potem ze wstydem do niego wracać. Czy tak wiele mi jeszcze do tego brakuje, żeby mieć dobre stanowisko w świecie? A czegoż więcej można tu sobie życzyć? Mam wpływowych przyjaciół, więc jeśli nie będę chciał czekać na coś jeszcze większego, może zdołam uzyskać stanowisko zarządcy jakiejś prowincji. Trzeba też pojąć żonę dosyć posażną, żeby wydatki na nią zbytnio mi nie zaciążyły. I to już będzie kres mych ambicji. Wielu znakomitych ludzi wstawiło się służeniem mądrości również w stanie małżeńskim. Mogę więc pójść w ich ślady... Gdy tak rozmyślałem i sprzeczne wichry targały mną to w tę, to w tamtą stronę, czas przemijał i wciąż się ociągałem z nawróceniem się do mego Pana Boga. Z dnia na dzień odkładałem rozpoczęcie życia w Tobie, a nie odkładałem tego, żeby co dzień w sobie samym umierać. Uwielbiając szczęście, lękałem się sięgnięcia po nie tam, gdzie jest jego ostoja, jego dom; szukałem go na drogach ucieczki od tego domu. Uważałem, że byłbym bardzo nieszczęśliwy, gdyby mi brakowało uścisków kobiety. Ty w swym miłosierdziu dałeś nam lekarstwo zdolne do uleczenia tej słabości, ale nie myślałem o nim, bo jeszcze nigdy go niewypróbowałem. Mniemałem, że do powściągliwości człowiek jest zdolny o własnych siłach, a ja w sobie tych sił nie dostrzegałem. Głupiec, nie wiedziałem, że — jak napisano — nikt nie może być powściągliwy, jeśli Ty mu tego nie udzielisz.⁹ Udzieliłbyś mi na pewno, gdybym z głębi serca wołał do Ciebie i gdybym miał wiarę dostatecznie mocną, by moje troski Tobie powierzyć.

12. Od zawarcia małżeństwa powstrzymał mnie Alipiusz, argumentując, że gdybym to uczynił, już nie mogli- byśmy żyć w bezpiecznym spokoju, poświęcając się wyłącznie temu, co najbardziej cenimy: poszukiwaniu mądrości. W tej dziedzinie zachowywał on także w tym okresie swojego życia godną podziwu czystość. Niegdyś, na progu młodości, miał doświadczenie stosunków cielesnych, ale nie przywiązał się do niego, raczej nad tym bolał i wstydził się tego. Odtąd też żył w najsurowszej czystości. Ja przeciwstawiłem mu swoje argumenty, powołując się na przykłady tych, którzy żyjąc w małżeństwie służyli jednak mądrości, służyli też dobrze Bogu i zasługiwali na wierność przyjaciół, wzajemnie ich kochając. Ale do wielkości duchowej tamtych ludzi mnie samemu było bardzo daleko.

Raczej rozmiłowany byłem w gorączce zmysłów, w rozkoszy sprowadzającej śmierć — wlokłem za sobą łańcuch i nie chciałem, żeby mnie z niego rozpułano. Odrzucałem dobre rady; rękę, która mnie chciała uwolnić, odpychałem, tak jakby ona rozjątrzała moje rany. Wąż zresztą posługiwał się mną także do tego, żeby przemawiać do Alipiusza. Moimi słowami usiłował go uwieść; stawiał na jego drodze przymilne pułapki, aby się w nie uwikłały jego stopy, kroczące tak szlachetnie i lekko. Alipiusz dziwił się, że ja, którego skądinąd tak wysoko cenił, mogłem być aż tak oplatany siecią owej namiętności; ilekroć o tych sprawach dyskutowaliśmy, twierdziłem stanowczo, że jestem zupełnie niezdolny do tego, by żyć bez kobiety. Gdy widziałem, że nie rozumie mojego stanowiska, zwykle broniłem się twierdzeniem, że zbyt wielka jest różnica między jego pospiesznym, ukradkowym doświadczeniem, którego już niemal nie pamiętał i które bez

trudności mógł lekceważyć, a moim trwałym przywiązaniem uczuciowym, któremu brakowało tylko czcigodnego miana małżeństwa, aby zrozumiał, dlaczego nie mogę tego rodzaju życia odrzucić. Pod wpływem tych argumentów zaczął i on pragnąć małżeństwa, nie z tęsknoty do takiej rozkoszy, lecz z samej ciekawości. Powiadał, że chciałby się sam przekonać, czym jest ta osobliwa rzecz, książę tego świata nie znalazł niczego godnego śmierci⁴², a zabił Go i przez to wymazany jest wyrok, który był wydany przeciwko nam.⁴³ Tego w książkach platońskich się nie znajdzie. Nie jaśniej z nich ta prawdziwa pobożność, nie płyną łyzy wyznania, nie ma tam owej ofiary dla Ciebie: ducha udręzonego, serca skruszonego i ukorzonego, nie słyszymy o zbawieniu ludu Twego, o mieście przystrojonym jak oblubienica⁴⁴, o zadatku Ducha Świętego⁴⁵, o kielichu naszego Odkupienia. Nikt tam nie śpiewa: „Komuż jak nie Bogu podda się dusza moja? Od Niego zbawienie me! On, nie kto inny, Bogiem moim i Zbawcą, obrońcą moim. Już się nie zachwieję”⁴⁶. Nikt tam nie nasłuchuje wołania: „Chodźcie do mnie, którzy utrudzeni jesteście”⁴⁷. Lekceważą Jego naukę, bo On cichy jest i pokornego serca. O tak! — ukryłeś to przed mądrymi i przewidującymi, a objawiłeś maluczkiemu.

Co innego — dostrzec z wierzchołka porośniętej lasem góry ojczyznę pokoju w dali, ale nie móc znaleźć właściwej drogi do niej, błąkać się bezsilnie po bezdrożach, tułać się wśród zasadzek zdradzieckich rabusiów, uciekinierów z pochodu, których wodzem jest lew i smok⁴⁹, a co innego kroczyć drogą wiodącą do owej krainy, wytyczoną staraniem niebiańskiego Wodza; nie szerzą tu rozboju żadni zbiegowie z niebiańskich zastępów. Oni unikają tej drogi jak kaźni! Wszystkie te nauki cudownie do mnie przenikały, gdy najmniejszego z Twoich apostołów⁵⁰ czytałem; gdy rozważyłem dzieła Twoje i zadrzałem z trwogi.

⁴² Por. J 14, 30.

⁴³ Por. Kol 2, 14.

⁴⁴ Por. Ap 21, 2.

⁴⁵ Por. 2 Kor 1, 22; 5, 5.

⁴⁶ Ps 61, 2—3.

⁴⁷ Mt 11, 28.

⁴⁸ Por. Mt 11, 25.

⁴⁹ Por. Ps 90, 13.

⁵⁰ Por. 1 Kor 15, 9.

¹ Por. Ps 67, 23.

² Por. Łk 7, 14—15.

³ Por. J 4, 14.

⁴ Por. Prz 6, 23.

¹ Por. Rdz 1, 27.

⁶ 2 Kor 3, 6.

⁷ Prz 9, 8.

⁸ Łk 16, 11—12.

⁹ Por. Mdr 8, 21.